



Przygody
rycerza
Jerzego

Cześć I
Błędny rycerz

Anna Borkowska



Przygody
rycerza
Jerzego

Cześć I
Błędny rycerz



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Ilustracje:
Bogumiła Czepiel OSB

Korekta:
Agnieszka Nieć

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 232/2019, Tyniec, dnia 14.10.2019
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie – Kraków 2020

ISBN 978-83-7354-987-6

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95
e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl
zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

Spis treści

Smok po łacinie

Kto chciał zabić smoka	9
Kto miał skargę na smoka	29
Kto zna zwyczaje smoka	41
Kto odgadnie tajemnicę smoka	57

Władca Wielkiego Miasta

Droga przez pustynię.	85
W stolicy wielkiego wodza.	97
Drogi do lochów i z lochów	111
O różnicy między bilokacją a halucynacją.	125
Koza przeciwko małpie	137

Szklana Góra

Flawian	155
U mnie się nic nie marnuje	167
Bliźniacze Królestwo	183
Rewizja na Szklanej Górze.	195
Eustachy Wyzwoliciel	207
Najlepsze jest trzecie	221
O autorze	231

Smok po łacinie



Kto chciał zabić smoka

Wieczór był już blisko, kiedy wędrowiec, po przedarciu się przez kolejny wał jeżyn, trafił nie na zwykłą polankę, i nie dla odmiany w pokrzywy, ale na wyraźną drogę. Była to raczej tylko przecinka, którą od co najmniej dwu lat nikt nie jeździł: młode drzewka wyrosły w zatartych koleinach, a nietrzebione od dawna konary starodrzewu spotkały się nad drogą, robiąc z niej ciemny korytarz. Teren jednak był w tym miejscu równy i korytarz na tyle prosty, że mimo mroku można było dostrzec kilka ciekawych rzeczy. Wędrowiec rozejrzał się i aż gwizdnął z wrażenia. Nawet gdyby od dziecka znał tę puszcę, nie mógłby trafić lepiej.

Na lewo stara droga ciągnęła się jeszcze przez jakieś pięćdziesiąt kroków, po czym kończyła się zasiekim. Nie musiał podchodzić blisko, żeby go obejrzeć: od tygodnia napotkał już takich zasieków kilkanaście i dopiero ten jeden udało mu się jakimś przypadkiem ominąć. Między wbitymi w ziemię palami, oparte końcami o drzewa rosnące przy drodze, leżały tam jeden na drugim pnie grube, nie okorowane, zarośnięte już gęsto powojem i chmielem.

Z drugiej strony zasieku, od której powinien był podejść, na pewno były wilcze doły, na których cienkie deski przegniły i zawaliły się w rosnące na dnie młode pokrzywy:

dawno już nie pułapka, ale dla wozów, a nawet dla koni przegroda nie do przebycia. Cóż, nie miał już konia i nie musiał się zastanawiać, czy gdyby miał, zdołałby zasięknąć bokiem.

Na prawo droga szła prosto przez jakieś może dwieście kroków, po czym wychodziła na polanę, tak że na końcu ciemnego korytarza świeciło jakby okienko: otóż w tym okienku na samym środku widniał przedmiot, którego wędrowiec nie widział już od wielu dni. Drogowskaz! A nic tak nie pobudza ciekawości na widok drogowskazu, jak fakt, że ostatniego sucharka zjadło się co do okruszyny wczoraj rano. Mając w dodatku przed sobą drogę prostą i miękką, bo zarośniętą trawą, wędrowiec ruszył w stronę świetlistego otworu niemal biegiem.

Kiedy doszedł na skraj polany i można mu się było lepiej przyjrzeć, ukryty w krzakach człowiek, który śledził go już od dobrej chwili, odetchnął z ulgą. Przybysz nie wyglądał groźnie. Wysoki, owszem, i żyłasty, ale wyraźnie zabiedzony, miał na sobie skórzany kubrak i także portki, wszystko to obficie podrapane, a miejscami nawet rozdarte, przez kolce jeżyn i tarniny. Poprzednio musiał okrywać się także szerokim wełnianym płaszczem, ale z tego płaszczka zostały już tylko strzępki przy szyi, których widać przez zapomnienie nie zrzucił, głowę miał gołą i parę włosów tkwiło w obfitej jasnej czuprynie, podpierał się ułamkiem jakiegoś toczzonego drąga, ale bronii nie miał żadnej. Z zabłoconych i mocno zdartych skórzni wystawały mu liście babki, którymi widocznie owijał poranione stopy. Przy tym wszystkim oczy miał pogodne i czoło nad chudą gębą tak gładkie,

jakby go nigdy jeszcze nie zmarszczył w złości. Szpieg chłonał wszystkie te szczegóły z przyjemnością, gdyż potwierdzały jego pierwsze wrażenie. Mimo to jednak pozostałby w krzakach, gdyby przybysz poszedł dalej albo zatrzymał się na stojąco, ale on po odczytaniu napisu na drogowskazie



usiadł w cieniu najbliższego drzewa i w tej pozycji wyglądał już tak niegroźnie, że śledzący go nabrał pewności siebie i wysunął się na drogę. Najpierw udawał, że nią idzie z daleka. Potem udawał, że patrzy w inną stronę i nie dostrzega wędrowca. Wreszcie podszedłszy blisko, spojrział wprost i stwierdził ze zdumieniem, że tamten najspokojniej zasnął.



– Hej... – powiedział niepewnie nowoprzybyły, a potem już głośniejszym głosem: – Hej! Dobry człowieku!

Wędrowiec otworzył oczy. Miał przed sobą postać trochę żalostną, a trochę dziwną. Na drodze stał grubaśny człowieczek z rozstawionymi szeroko, jakby od stałego nasłuchiwania, uszami i z latającymi nerwowo oczyma, ubrany lichy, ale z wyraźnym staraniem o ozdobność, tam zwłaszcza, gdzie najmniej była potrzebna. Był też zbrojny w ogromny sztylet w kolorowej pochwie. W wyrazie twarzy miał niemożliwą do ukrycia mieszaninę ciekawości i mimo wszystko jeszcze trwogi. Powtórzył:

– Hej, dobry człowieku!

– Dziękuję, przyjacielu, staram się, jak mogę – odpowiedział wędrowiec, przeciągając się wygodnie.

– Co się starasz?

– Być dobrym człowiekiem.

– Aha – stwierdził tamten rzeczowo – to pewnie dlatego zszedłeś na dziady. – Trwoga stopniowo gasła w jego oczach, a pojawiło się coś jakby poczucie wyższości. Wędrowiec roześmiał się:

– Na dziady, powiadasz? Ha, na mą cześć rycerską, przednia myśl! Skoro zszedłem na dziady, będę zebrał. Zaczny panie! Czy nie masz dla biednego dziada ułamka chleba?

I wyciągnął błagalnie rękę, nie zmieniając zresztą pozycji. I ten nawet gest wystarczył, żeby stojący na drodze człowieczek cofnął się szybko o krok. Widząc jednak, że wędrowiec rzeczywiście tylko wyciąga rękę, a nie napada, znowu napuszył się z lekka i odrzekł:

– Znalazłoby się, owszem. Ale dlaczego, dziadu, zaklinasz się na cześć rycerską?

– Bo zanim zostałem dziadem, byłem rycerzem. Ale teraz, litościwy panie, racz mi dać ten obiecany kawałek chleba, gdyż od tygodnia już błędzę po lesie, a od wczoraj nic nie miałem w ustach... Dziękuję... nieźle się tu jada!

Złapał rzuconą sobie podwójną pajdę chleba, przełożoną grubo serem, i zaraz wgryzł się w jej miękisz. Jego karmiciel stał nad nim, układając sobie w myśli pytania, którymi by najłatwiej było zażyć obcego z mańki... Wreszcie, kiedy po chlebie nie zostały już nawet okruszki, zapytał:

– A dawno to już, jak przestałeś być rycerzem?

– Nie tak dawno – odpowiedział tamten. – Jeszcze tydzień temu, kiedy wjeżdżałem do puszczy, każdy mógł we mnie rozpoznać rycerza. A potem koń mi się utopił w bagnie, zbroję musiałem zdjąć, kiedy trzeba było przepłynąć przez rzekę – wszystko, łącznie z mieczem i pasem rycerskim! Zostawiłem sobie tylko włócznię, bo była drewniana, ale i ona złamała mi się potem, kiedy się wdrapywałem na któryś kolejny zasiłek. Aha, tarcza połamana mi się jeszcze wcześniej, kiedy na niej zjechałem z jakiejś śliskiej stromizny. No i tak, kawałek po kawałku, został z rycerza dziad. I okazało się, że dokąd rycerz nie trafi, dziad trafi.

– A dokąd to chciałeś trafić?

– Ano tu właśnie. Drogowskaz pokazuje Smoczy Gród, a ja tam jadę... przepraszam, teraz już idę, ale na jedno wychodzi.

Pytający poruszył się tak, jakby ciekawość pchnęła go do przodu, a strach do tyłu, i w końcu ani się nie cofnął, ani nie przybliżył. Przełknął tylko ślinę i powiedział:

– No bo... tak żeby podtrzymać rozmowę, rozumiesz, pytam... jakże tobie, dziadu, na imię? Jerzy – odpowiedział tamten, układając się wygodniej na trawie. Ta obojętna odpowiedź zrobiła jednak na jego rozmówcy piorunujące wrażenie. Zawołał:

– Rycerz Jerzy?

– Tak jest.

Tym razem człeczyna drgnął tak, jakby strach go jednocześnie i rzucił do ucieczki, i obezwładnił. Ramiona mu obwisły, kolana się zatrzęsły, a z rozdziawionych ust popłynęło coś ni to śpiew, ni to lament:

– Rycerz Jerzy, przed którym drżą wszystkie smoki! Rycerz Jerzy, który krąży po świecie w zbroi ze smoczej skóry! A koń jego smoczymi zębami podkuty, a miecz jego w smoczym ogniu hartowany, a na tarczy jego sto złotych ćwieków, każdy na pamiątkę jednego zabitego smoka!..

– Gruba przesada – przerwał mu Jerzy z ziemi. – Zabiłem dotąd tylko cztery smoki; mam nadzieję, że wasz będzie piąty.

– O wielki panie! – jęknął człeczyna. – Toż to przed tobą właśnie mieszkańcy Smoczego Grodu, na rozkaz smoka, dwa lata temu pozatracali wszystkie drogi, porobili zasieki i doły... A ty się i tak przedarłeś! O biada smokowi, biada!

Rycerz Jerzy przewrócił się na bok i przyjrzał się z ciekawością swojemu rozmówcy. Po raz pierwszy w życiu spotykał człowieka, który najwyraźniej boi się, żeby kto smoka

nie skrzywdził! Było to bardzo ciekawe i mogło okazać się ważne, ale żeby dowiedzieć się czegoś więcej, należało najpierw dać temu tchórzowi do zrozumienia, że nic a nic mu nie grozi. Dlatego Jerzy nie wstał, nawet nie usiadł, przeciwnie, rozluźnił wszystkie mięśnie tak, jak gdyby podeszła do niego sarna albo inne płochliwe stworzenie, które nie tylko ruch, ale i gotowość do ruchu dostrzeże i rzuci się natychmiast do ucieczki. Powiedział:

– Ja ci się już przedstawiłem, a ty?

– Pafnucy – jęknął tamten ochryple.

– No więc widzisz, mój Pafnucy, rzeczywiście przedarłem się, ale w nie najlepszej formie, skoro mnie wzięłeś za dziada. I zupełnie bez broni.

– To czym będziesz walczył ze smokiem? – spytał Pafnucy.

– Chyba nie brak mieczy w waszym mieście.

– Nie ma ani jednego! Ani włóczni, ani toporów bojowych, ani...

Rycerz Jerzy parsknął śmiechem.

– Dziw nad dziwy! – zawołał. – To kto kogo się tutaj boi: czy smok was, czy wy smoka?

– Panie rycerzu – oburzył się Pafnucy – to nie żadne śmiechy! Smok jest naprawdę straszny: strrraszny! A miecze i topory odebrał nam nie ze strachu przed nami, ale po to, żebyśmy ich nie używali do uboju bydła. Całe bydło należy się jemu i dla niego jest hodowane.

– Bydło, powiadasz. A ludzi wam nie porywa?

– W swojej łaskawości bardzo rzadko. Tylko raz na rok jedną młodą dziewczynę.

– Rozumiem – mruknął Jerzy. – To się wam wydaje niewiele i tak przywykliście, że już nawet chwalicie łaskawość smoka. A co, może jeszcze i przed wrogami was bronił?

– Smo-ok...? – zapytał Pafnucy, szczerze zdumiony.

– Ano smok. Za coś przecież musicie go lubić. Przed chwilą jęczałeś „biada smokowi” takim tonem, jakbyś go żałował.

Pafnucy zamilkł na chwilę: było jasne, że zastanawia się, jak by się wyłgać. Wreszcie stwierdził:

– Musiałeś się przesłyszeć, panie rycerzu. Któż by żałował smoka, potwora! Zwłaszcza gdy się rozmawia z samym wielkim rycerzem Jerzym!.. Co teraz zamierzasz robić?

– Iść do miasta, oczywiście – odpowiedział Jerzy, nie ruszając się z ziemi.

– Ale jesteś bezbronny – ciągnął z naciskiem Pafnucy. – Czy nie lepiej by było wrócić do swego kraju po dobrą broń? Po silne konie?

– I znowu potracić wszystko w drodze przez puszcze? Nie.

– No to jak? – zapytał Pafnucy z wyraźną złością. – Pójdiesz na smoka z gołymi rękami?

– Jeżeli nic lepszego nie znajdę...

– Oszalejesz ze strachu na sam widok!

– Zawsze mogę pójść z zamkniętymi oczami.

– Tyś już oszalał – stwierdził Pafnucy rzeczowo i usiadł po raz pierwszy podczas tej rozmowy. – No to nic... to jest, chciałem powiedzieć, szkoda. Widzisz, u nas w mieście jest taki duży szpital dla obłąkanych, i tam mieszkają tacy, co próbowali iść na smoka.

- Ooo... zaciekał się Jerzy – było takich dużo?
- Sporo. I wszyscy oni tam są. Leżą na materacach i krzyczą ze strachu całymi dniami.
- Co robić, pokrzyczę i ja. Płuca mam mocne.
- Ha, skoro z ciebie taki rezolut, to chciałbym przy tym być, znaczy jak pójdiesz na smoka. Może byś mnie przyjął na sługę, panie rycerzu?
- A co umiesz i coś za jeden? – zapytał Jerzy. – I czemu nosisz taki duży sztylet, skoro u was nie wolno mieć broni?
- Tamten podrapał się w głowę.
- Mnie wolno... bo ja jestem hycel. Smok nie znosi psów, więc gdyby jakiś pies pokazał się w mieście, to ja go muszę zabić.
- Faj – wzdrygnął się Jerzy. – Coraz mniej mi się podoba ten wasz smok. No i oczywiście wykluczone, żebym hycela przyjął na giermka czy nawet na sługę.
- Pafnucy spojrzeli chytrze.
- Gardzisz mną? – zapytał. Było to mądrze postawione pytanie. Kodeks rycerski zabraniał pogardy, gdyż jest oczywiste, że człowiek, który kimś gardzi, nie będzie walczył honorowo. Jerzy zrozumiał, że dostał się w pułapkę i miał z niej tylko jedno wyjście.
- Przepraszam – powiedział szybko. – Dobrze, Pafnucy: od dzisiaj przestajesz być hyclem, a jesteś sługą rycerza. Ale nie dziękuj... a lepiej powiedz mi: dlaczego smok nie znosi psów?
- Panie – rzekł pokornie Pafnucy – nikt z nas jak dotąd nie śmiał zapytać go o to.
- Niby racja... Ale ciekawe!

Było to rzeczywiście ciekawe: dlaczego smok zawarł jakieś niemalże przymierze z ludźmi, a nie chciał czy nie zdołał zawrzeć go z psami. Psia wierność mu przeszkadzała – czy też psi węch?

– Więc mówisz, że psów już nie ma w mieście?

Pafnucy spojrział na swój sztylet.

– W mieście nie ma. W lesie czasami są. I z tej racji...

Ojej!

Ten okrzyk wydarł się Pafnucemu dlatego, że rycerz Jerzy wstał szybko i bardzo głośno gwizdnął. Nowo przyjęty sługa zerwał się także i zaczął protestować:

– Co robisz, panie! Gotów tutaj przybiec jakiś pies!

– Przecież po to właśnie gwizdałem – odpowiedział rycerz, siadając z powrotem. – Trzeba ci wiedzieć, mój Pafnucy, że ja z psami potrafię gadać.

– Ale i smok mógłby nadlecieć!

– A to tym lepiej, nie będę go musiał szukać.

– Szukać go i tak nie będziesz musiał – powiedział ponuro Pafnucy. – Zaraz za bramą miasta, nie tą najbliższą stąd, ale przeciwległą, północną, zaczyna się Smocza Droga. Krótka ledwie na milę, szeroka i dobrze ubita, bo tamtędy pędzimy bydło dla smoka. Idzie pod górę i pod samą skałą kończy się łąką. W skale jest jaskinia i w tej jaskini mieszka smok. Szukać go nie potrzeba: sam wychodzi, ilekroć usłyszy najmniejszy ruch na łące. Ojej, co to?

„To” było szelestem w krzakach: bardzo ostrożnym szelestem, okrążającym polanę tak starannie, jakby znajdowało się na niej nie dwóch ludzi, ale spore stadko smoków. Jerzy klepnął się po udzie.

– Nic... tylko pies. Tu, tu, piesku... Pafnucy, zostaw ten nóż! Zapominasz, że już nie jesteś hyclem.



– Niczego nie zapominam – burknął Pafnucy a brzmiało to niemal jak zapowiedź krwawej zemsty nie wiadomo na kim. – Ale boję się!

– Psa czy smoka? Ładnego wziąłem sobie sługę! W dodatku, popatrz, ten pies boi się ciebie co najmniej tak, jak ty jego.

Pies tymczasem rzeczywiście nie mógł się zdecydować, czy silniej odstrasza go jeden z ludzi, czy przyciąga drugi. Był to duży kundel, bury w białe łaty (albo odwrotnie), ani całkiem bernardyn, ani całkiem wilczur. Miał wrodzoną niezdolność do postawienia sztorcem obojga uszu na raz: ilekroć stawiał jedno, opadało mu drugie. Na nosie miał kilka blizn i parę świeższych zadrapań: taki nos to znak, że jego właściciel ma buńczucznoś ducha i w kaszę sobie dmuchać nie da, a wyżywić się także i w lesie potrafi. Mimo to co innego bójka z lisem albo ze zdziczałym kotem, a całkiem co innego niebezpieczeństwo od ludzi. Podchodził więc do polany pod wiatr i tak, żeby być bliżej tego, który go wołał, niż tego, który bawił się nożem. Wreszcie przywarował za krzakiem całkiem już niedaleko, widoczny o wiele lepiej, niż mu się zdawało, i czekał na coś, co by mu pozwoliło podjąć decyzję.

– Bandzior! – zawołał Jerzy, klepiąc się znów po udzie. Pies słyszał to słowo po raz pierwszy, ale poczuł się jakby schwytyany na smyczy. Albo może jakby nagle wypełniony błogą sytością. Świat i życie nabrały sensu: pies rozpoznał swoje nowe imię, przepoił się nim i dał się nim pociągnąć ku wołającemu.

Nawet jednak wtedy, kiedy ręka nowego pana spoczęła na jego grzbiecie, nie spuścił podejrzliwego oka z drugiego człowieka. Na każdy ruch tamtego reagował warczeniem. Tymczasem Pafnucy, widząc nagłą komitywę psa z ryce-

rzem i słysząc jakieś dziwne pomruki, wydawane przez tego ostatniego, doszedł do wniosku, że oni rozmawiają naprawdę. Uciec przed psem można na drzewo, przed człowiekiem w krzaki, ale przed psem i człowiekiem jednocześnie? Pafnucy krzyknął:

– Co on mówi? Co on mówi?

– Mówi, że mnie ufa, a tobie nie – odpowiedział Jerzy, nie zdejmując ręki z karku psa.

– A *dlaczego* mi nie ufa, też mówi?

– Nie. Psi język nie jest aż tak dokładny.

Pafnucy odetchnął z ulgą, ale zarazem zdał sobie sprawę, że ma już tej rozmowy bardzo a bardzo dość. Powiedział:

– Panie rycerzu, słońce niedługo już zajdzie. Czy teraz pójdziecie do miasta?

– Ano czas byłby – odpowiedział Jerzy, wstając. – Prowadź do gospody.

Ledwo jednak zrobił parę kroków w stronę, którą wskazywał drogowskaz, Bandzior rzucił się na niego ze szczekaniem, jakby go chciał zawrócić z drogi albo odpędzić.

– Wściekł się ten pies, czy co? – spytał Pafnucy, odsuwając się jeszcze dalej. – Zresztą i tak nie możemy go wprowadzić do miasta. Trzeba go tutaj przywiązać.

– Ot, jak to widać, że nie rozumiesz po psiemu! – zaśmiał się rycerz. – Ten pies mówi, żebym tam nie szedł dzisiaj; a kiedy pies powiada coś takiego, głupi by nie posłuchał. Zostaję na noc w lesie. Masz tu, Pafnucy, dukata, idź i kup dla mnie żywności. Kup także duży namiot i wracaj czym prędzej. A jeśli cię kto zapyta, dla kogo ten namiot,

powiedz: Dla rycerza Jerzego. A jeśli cię kto zapyta, gdzie on jest, powiedz: Za miastem przy drogowskazie czeka na wszystkich, którzy mają skargę na smoka. Idźże!

Pafnucy złapał dukata i pobiegł w stronę miasta ze zdumiewającą gorliwością. A rycerz Jerzy usiadł znowu pod dębem i gładząc grzbiet Bandziora, mówił sam do siebie:

– Mnie coś groziło, ale temu hultajowi nic nie grozi, to widać.

Miał zupełną rację, chociaż nie wiedział, że o niecałe sto kroków dalej, w miejscu, gdzie droga skręcała za skalnym załomem, Pafnucy przystanął i cicho zaklaskał. Spomiędzy wysokich paproci podniosło się dwóch grubaśnych osiłków o niewielkich głowach, ale za to muskułach tak rozwiniętych, że każdy z nich mógłby próbować zapasów w pojedynkę z niedźwiedziem. Kiedy wstawali, jeden miał minę zadowoloną, a drugi gniewną, bo leżąc w zasadzce, grali w kości i Pafnucy przerwał im właśnie w chwili, kiedy jeden miał stracić wszystko, co stawiał, a drugi wygrać.

– Jest – powiedział Pafnucy.

– No to cyk – zaseplenił zadowolony.

– Żaden cyk. Nie chce tędy iść, a w dodatku ma psa.

– No to i psa – burknął gniewny.

– Cicho, durna morda! Pies was zwęszy, a rycerz was załatwi. Święty Jerzy we własnej osobie.

– No to plusk – powiedzieli obaj, i rzeczywiście mieli takie miny, jakby chcieli zniknąć jak kamień w wodzie.

– Ja wam dam plusk! – wściekł się Pafnucy. – Siedzieć tutaj i gapić się na drogę! Będą szli ludzie do niego z miasta ze skargą na smoka.

– Niby jak to, ze skargą na smoka – powiedział gniewny. Właściwie obaj już byli gniewni, bo nie wiedzieli, czego się od nich żąda.

– Nieważne, jak – jęknął Pafnucy. – Grunt, że będą szli ludzie.

– No to cyk – rozweselili się obaj od razu. Pafnucy wpadł w rozpacz.

– Żaden cyk! – zaczął krzyczeć zduszonym głosem. – Ja wam zrobię cyk! Ja wam...

– Tyyy?.. – osiłkowie spojrzeli na siebie i zaśmiali się jeszcze głośniej.

– Jak nie ja, to smok! SMOK, rozumiecie?

– Niby tak – odpowiedzieli. Wesołość od razu im przeszła. Pafnucy odetchnął: panował już znowu nad sytuacją. Ale jednocześnie zrozumiał, że ci dwaj nadawali się, owszem, do zasadzki, ale do szpiegowania się nie nadają. Szkoda czasu stać tutaj i tłumaczyć im długo (i prawdopodobnie bezskutecznie), co mają wyśledzić, zapamiętać i donieść. Lepiej w ogóle ich zwinąć i szpiegować samemu. Będzie to wymagało nocowania przy rycerzu, ale nie ma innej rady. Najważniejsze na wojnie są informacje. A rano, jeśli wymknie się dość wcześnie, może zdąży jeszcze w smoczej jamie odrobić zaległości, Więc rozkazał:

– Spływajcie do gospody. Tu macie na kielicha. I żeby was nie musiał nigdzie indziej szukać jutro, rozumiano?

– No to plusk! – ucieszyli się obaj i nie czekając już na nic, pokłusowali do miasta. Pafnucy szedł za nimi dziarskim krokiem. Musiał nadrobić stracony czas. Zapomniał tylko, jaki ciężki jest namiot, przynajmniej taki rodzaj, jaki

stosowny jest dla rycerza jako kwatery przed bitwą. Do waszego kempingowego namiotu tak się to ma mniej więcej, jak kamienica do kurnika. Pafnucy kiedy kupił ten namiot, zdołał tylko wytaszczyć go ze sklepu (musiał, bo sklep już zamykano) i postawić ten ogromny toboł pod najbliższą latarnią. Rozgłosił już wprawdzie na całe miasto, gdzie czeka rycerz, ale nikt a nikt nie dał się namówić na wyprawę w tamtą stronę, nawet tylko dla zanieśienia namiotu za opłatą. Po prostu wszyscy w mieście wiedzieli, że Pafnucy szpieguje dla smoka. W rezultacie Pafnucy, kiedy już było całkiem ciemno, ukradł taczki jakiemuś ogrodnikowi i ledwo przed północą dotarł z całym ładunkiem do drogowskazu.

Zastał tam rozpalone ognisko i rycerza Jerzego wypoczętego i w świetnym humorze. Pafnucy, który nigdy w życiu nie rozkładał namiotu i był bardzo ciekaw, jak to się robi, przegapił ten widok tylko dlatego, że się na moment obejrzał za Bandziorem. Kiedy z powrotem spojrzął we właściwą stronę, namiot już stał, a Jerzy umacniał śledzie. Okazało się, że w środku tobołu był nawet składany maszt, stanowiący środkową podporę namiotu, ale o trzy stopy od niego wyższy. Pafnucy zdążył tylko pomyśleć: ot, partactwo, zmarnowali taki kawał rury – kiedy zobaczył, że rycerz wciąga na ten maszt proporzec. Najdziwniejsze było, skąd go wziął: czy miał w kieszeni, czy też sprzedawca dodał go do namiotu, i to od razu taki właśnie, jak na obrazkach ze świętym Jerzym, w pasy złote i błękitne? Czyżby ktoś w mieście na zapas szył już takie proporce?



Zakonotowawszy to sobie w pamięci do późniejszego wyjaśnienia, Pafnucy przystąpił do gotowania kolacji, guzdrał się z tym nieco, bo chciał się jeszcze przy jasno płonącym ognisku doczekać gości rycerza, ale w lesie było cicho i pusto, tylko czasem zapiszczały przez sen gawrony albo krzyknęła sowa, płosząc myszy. Wreszcie kolacja była gotowa, rycerz zjadł ją, nakarmił psa i powiedział:

– Możesz już iść spać, Pafnucy.

– Ale na świeżym powietrzu – zastrzegł się Pafnucy, dbały o swoją swobodę ruchów.

– A gdzie chcesz, choćby i w gawronim gnieździe. Ot patrz, jest ich na tamtym buku kilkadziesiąt do wyboru.

I właśnie kiedy Pafnucy odruchowo odwrócił się w stronę wskazanego mu drzewa, na drodze dały się słyszeć kro-

ki. Ktoś szedł powoli i nie próbował się ukrywać: posuwał nogę za nogą, nie dbając o to, że mu pod stopami trzeszcza suche gałązki. I rycerz, i jego sługa wstali i wytężyli wzrok i słuch.